

**ISABEL
ALLENDE
OPOWIEŚCI
EVY LUNY**

Przełożyła Ewa Zaleska

MARGINESY

Cuentos de Eva Luna

COPYRIGHT © Isabel Allende, 1989

COPYRIGHT © FOR THE TRANSLATION BY Ewa Zaleska

COPYRIGHT © FOR THE POLISH EDITION BY Wydawnictwo Marginesy,
Warszawa 2026

Dla Williama Gordona,
za wspólnie spędzony czas
I.A.

I odtąd stało się zwyczajem króla Szachrijara, że każdej nocy brał sobie dziewczynę nietkniętą jeszcze, a pozbawiwszy dziewictwa, polecał ją zabić o świcie. Trwało to trzy lata. Poddani zaczęli utyskiwać i uchodzili z córkami, aż nie została w mieście ani jedna dziewczyna dla króla Szachrijara. A kiedy król według swego zwyczaju rozkazał wezyrowi, aby przyprowadził mu nową dziewczynę, wezyr wyszedł i szukał, lecz nie znalazł żadnej. Udał się wtedy do swoich komnat zgnębiony i smutny, bojąc się gniewu króla.

A wezyr ów miał dwie córki, młode dziewczyny o smukłych kształtach, wielce piękne, pełne wdzięku i urody. Starsza miała na imię Szeherezada, młodszą zaś zwano Dunjazada. Szeherezada znała księgi i kroniki, podania o życiu starożytnych królów i opowieści o żyjących niegdyś ludach. Mówiono, że zgromadziła ona tysiąc ksiąg związanych z dziejami wcześniejszych pokoleń i królów minionych czasów, a także o poetach.

BASŃ NIE TYSIĄCA I JEDNEJ NOCY

Rozpinałaś pasek, zrzucałaś z nóg sandały, ciskałaś w kąt szeroką spódnicę, chyba z bawełny, i rozwiązywałaś wstążkę, która ściągała ci włosy w koński ogon. Miałaś jędrną skórę i śmiałaś się. Byliśmy tak blisko, że nie mogliśmy się widzieć, obydwójce pochłonięci tym nagłym rytuałem, rozpaleni i spowici we wspólny zapach. Torowałem sobie drogę do zakątków twego ciała, miałaś dłonie niecierpliwe, ja ściszałem twoje wierzgające biodra. Wyślizgiwałaś się, przebiegałaś mnie całego dłońmi, wspinałaś się na mnie, oplatałaś mocno nogami, po tysiącokroć powtarzałaś: chodź, z ustami przycisniętymi do moich warg. W chwili ostatniej obydwójce doświadczaliśmy błysku całkowitej samotności, każde pograżało się w celiściach własnej otchłani, ale szybko wracaliśmy z tego drugiego krańca namiętności, by odnaleźć się w uścisku pośród porozrzucanych poduszek, pod białą moskitierą. Odgarniałem twoje włosy, żeby spojrzeć ci w oczy. Czasami siadałaś obok mnie, z podkurczonymi nogami i zarzuconym na ramię jedwabnym szalem, w ciszy nadciągającej właśnie nocy. Taką cię pamiętam, spokojną.

Ty myślisz słowami, język jest dla ciebie niekończącą się nicią, którą przedziesz, jakby samo życie powstawało dzięki tym opowieściom. Ja myślę obrazami zastygłymi jak na fotografii. Ten jednak nie został utrwalony na kliszy, wydaje się nakreślony piórkiem, to wspomnienie szczegółowe i doskonałe, o delikatnych konturach i ciepłych barwach, renesansowe, jak zamysł uchwycony na czerpanym papierze lub na tkaninie. To prorocza chwila, to całe nasze ist-

nienie, wszystko, co przeżyliśmy, i wszystko, co mamy do przeżycia, wszystkie epoki równocześnie, bez początku i bez końca. Z pewnej odległości przyglądam się temu obrazowi, na którym i ja jestem. Jestem widzem i głównym bohaterem. Stoję w mroku, przesłonięty mgiełką przezroczystej firanki. Wiem, że to ja, ale jestem także tym, który przygląda się z zewnątrz. Wiem, co czuje ten namalowany mężczyzna na tamtym skotłowanym łóżku, w pokoju o ciemnych drewnianych belkach i suficie niczym w katedrze, gdzie cała scena jawi się jak fragment jakiegoś starego obrzędu. Jestem tam z tobą i jestem też tutaj, sam, na innym piętrze świadomości. Na obrazie para kochanków odpoczywa po miłości, ich wilgotna skóra błyszczy. Mężczyzna ma zamknięte oczy, jedną rękę trzyma na piersi, a drugą na jej udzie, w intymnym porozumieniu. Dla mnie to powracająca i niewzruszona wizja, nic się nie zmienia, zawsze ten sam pogodny uśmiech mężczyzny, to samo omdlenie kobiety, ta sama zmięta pościel i pograżone w mroku zakamarki pokoju, zawsze światło lampy muska pod tym samym kątem piersi i kości policzkowe kobiety i zawsze jedwabny szal i ciemne włosy opadają równie miękko.

Ileż o tobie myślę, taką cię widzę, takich widzę nas, zastygłych raz na zawsze na tym płótnie, niepodatnych na uszczerbki pamięci. Potrafię odtworzyć się całkowicie w tej scenie do tego stopnia, by poczuć, że wchodzę w przestrzeń obrazu i już nie jestem tym, który się przygląda, lecz mężczyzną leżącym u boku kobiety. To wtedy symetryczna cisza obrazu pryska i słyszę bardzo blisko nasze głosy.

- Opowiedz mi coś – mówię do ciebie.
- A co byś chciał?
- Opowiedz mi coś, czego nie opowiedziałas nikomu.

ROLF CARLÉ

DWA SŁOWA

Nazywała się Belisa Crepusculario nie dlatego, że tak jej dali na chrzcie lub tak chciała matka, ale sama szukała sobie tego imienia, aż je znalazła i przystroiła się w nie. Trudniła się sprzedawaniem słów. Przemierzała kraj od najwyżej położonych i najzimniejszych regionów aż po skwarne wybrzeże, zatrzymywała się na jarmarkach i targowiskach, gdzie na czterech patykach rozwieszała lnianną płachtę i tak chroniona przed słońcem i deszczem przyjmowała swoją klientelę. Nie musiała zachwalać towaru, wszyscy dobrze ją znali z tych ciągłych wędrówek to tu, to tam. Byli i tacy, co czekali na nią z roku na rok i gdy z węzełkiem pod pachą zjawiała się w wiosce, ustawiali się w kolejce do jej straganu. Sprzedawała po uczciwych cenach. Za pięć centavów dawała wiersze do zapamiętania, za siedem ulepszała sny, za dziewięć pisała listy zakochanym, za dwanaście wymyślała obelgi dla nieprzejednanych wrogów. Sprzedawała też opowiadania. Nie były to opowieści zmyślane, ale długie historie wzięte z życia, które płynnie recytowała, nie pomijając żadnego szczegółu. W ten sposób niosła z wioski do wioski nowiny. Ludzie płacili jej za dodanie linijki lub dwóch: urodziło się dziecko, ktoś umarł, pobrały się nasze dzieci, zbiory spłonęły. Gdy zaczynała opowiadać, zawsze zbierał się wokół niej tłumek, bo w ten sposób dowiadywano się o życiu innych, o dalekich krewnych, o okolicznościach wojny domowej. Każdemu, kto zrobił u niej zakupy za pięćdziesiąt centavów, dawała w prezencie jedno tajemne słowo na odpędzenie melancholii. Nie było to, oczywiście, jedno i to samo

słowo dla wszystkich, bo oznaczałoby to oszustwo. Każdy dostawał swoje własne i mógł być pewny, że nikt inny w całym wszechświecie, albo i jeszcze dalej, nie używa tego słowa w takim samym celu.

Belisa Crepusculario urodziła się w bardzo ubogiej rodzinie, która nie miała nawet imion, by obdarzyć nimi dzieci. Przyszła na świat i dorosła w niegościnniej okolicy, gdzie deszcze przybierają raz postać porywającej wszystko na swej drodze wodnej lawiny, kiedy indziej zaś z nieba nie spada ani kropla, słońce olbrzymieje, wypełniając sobą cały horyzont, a świat zmienia się w pustynię. Jej jedyną zaletą i jedynym zajęciem do ukończenia dwunastego roku życia było przetrwanie, mimo głodu i wiecznego znużenia. Podczas niekończącej się suszy przyszło jej pogrzebać czworo młodszego rodzeństwa, a gdy zrozumiała, że nadchodzi jej kolej, postanowiła ruszyć przez równiny w stronę morza, żeby przekonać się, czy po drodze uda jej się zmylić śmierć. Ziemia była wyjałowiona, spękana, usiana kamieniami, zeschniętymi drzewami i kolczastymi krzewami, szkieletami zwierząt pobielalymi od słońca. Od czasu do czasu natykała się na rodziny, które tak jak ona zmierzały na południe, wabione nadzieją dotarcia do wody. Niektórzy z tych ludzi rozpoczęli wędrówkę, dźwigając dobytek na ramionach lub pchając go przed sobą na wózku, ale w miarę posuwania się naprzód coraz bardziej powłóczyli nogami, więc stopniowo porzucali wszystkie rzeczy po drodze. Z trudem wlekli się przed siebie, ich skóra robiła się sucha niczym skóra jaszczurki, a oczy wypalało słońce. Belisa pozdrawiała ich gestem ręki, lecz nie przerywała marszu, bo nie mogła tracić sił na okazywanie współczucia. Wielu padło po drodze, ona jednak była taka uparta, że zdołała przebyć to piekło i dotrzeć w końcu do pierwszych źródeł: wątych i niemal niewidocznych strużek wody, które podtrzymywały przy życiu rachityczną roślinność, a dalej zmieniały się w strumyki i rzeczulki.

Belisa Crepusculario przeżyła, a na dodatek odkryła przypadkiem pismo. Gdy weszła do pewnej wioski opodal wybrzeża, po-

dmuch wiatru rzucił jej pod nogi stronę gazety. Wzięła do ręki żółty, cienki kawałek papieru i przyglądała mu się dłuższą chwilę, nie domyślając się, do czego służy. Wreszcie ciekawość przewyciężyła onieśmienie i podeszła do mężczyzny, który mył konia w tej samej kałuży brudnej wody, w jakiej przedtem ugasiła pragnienie.

– Co to jest? – spytała.

– Strona gazety z wiadomościami sportowymi – odparł mężczyzna, nie wykazując zdziwienia jej niewiedzą.

Ta odpowiedź wprawiła dziewczynkę w osłupienie, ale nie chciała sprawić wrażenia bezczelnej, więc ograniczyła się do zapytania o znaczenie tych owadzich nówek narysowanych na papierze.

– To słowa, dziecko. Tu jest napisane, że Fulgencio Barba znokautował Murzyna Tiznao w trzeciej rundzie.

Tamtego dnia Belisa Crepusculario dowiedziała się, że słowa chodzą samopas, bez właściciela, i każdy, kto wykaże odrobinę obrotności, może je przejąć na własność, żeby nimi handlować. Rozważyła swoją sytuację i doszła do wniosku, że poza prostytutką lub służbą w kuchni u bogatych państwa zostaje jej niewiele zajęć, jakich mogłaby się podjąć. Sprzedawanie słów wydało jej się wyborem uczciwym, więc od tej chwili poświęciła się temu zajęciu i nigdy nie zainteresowała się innym. Oferowała swój towar, nie podejrzewając na początku, że słowa można pisać nie tylko w gazetach. Gdy się tego dowiedziała, zrozumiała, że jej praca stwarza nieograniczone możliwości, więc z zaoszczędzonych pieniędzy zapłaciła dwadzieścia pesos pewnemu księdzu, żeby nauczył ją czytać i pisać, a za trzy pesos, które jej zostały, kupiła sobie słownik. Przeczytała go od A do Z, a potem wrzuciła do morza, bo nie zamierzała oszukiwać klientów słowami z konserwy.

Pewnego sierpniowego poranka, kilka lat później, Belisa Crepusculario siedziała pośrodku jakiegoś placu osłonięta namiotem i sprzedawała właściwe argumenty pewnemu starcowi, który od siedemnastu lat walczył o rentę. Był to dzień targowy i zewsząd otaczał

ją zgiełk. Nagle dały się słyszeć tętent i krzyki. Podniosła wzrok znad kartki i najpierw ujrzała tuman kurzu, a zaraz potem grupę jeźdźców, którzy wtargnęli na plac. Byli to ludzie pułkownika. Dowodził nimi Mulat, olbrzym znany w całej okolicy z szybkiego sztyletu i lojalności wobec swego szefa. Zarówno on, jak i pułkownik całe życie bili się w wojnie domowej, a ich nazwiska kojarzyły się nierozdzielnie z bitewną wrzawą i nieszczęściem. Jeźdźcy wpadli do wioski jak rozpędzone stado, mokrzy od potu, wzbudzając ogólny tumult i siejąc przerażenie niczym nadciągający huragan. Kury rozpięchły się, trzepocząc skrzydłami, psy pognały przed siebie na oślep, kobiety uciekły, zabierając dzieci, i na środku placu nie została ani jedna żywa dusza prócz Belisy Crepusculario. Nigdy wcześniej nie widziała Mulata, więc zdziwiła się, gdy do niej właśnie się zwrócił.

– Ciebie szukam – krzyknął, wskazując na nią zwiniętym biczem, i nim skończył wypowiadać te słowa, dwóch ludzi runęło z góry na Belisę, rozwalając jej namiot i tłukąc kałamarz. Najpierw związali jej ręce i nogi, a potem przerzucili niczym marynarski worek przez grzbiet wierzchowca Mulata i natychmiast wszyscy ruszyli galopem w kierunku wzgórz.

Po długich godzinach, gdy Belisa Crepusculario była już bliska śmierci, bo od ciągłego podskakiwania na grzbiecie konia jej serce omal nie starło się na proch, poczuła, że się zatrzymują i czworo potężnych rąk ją zdejmuje. Spróbowała stanąć na nogach i unieść z godnością głowę, ale siły ją zawiodły, runęła na ziemię z cichym westchnieniem i pogрузzyła się w mrocznym śnie. Nocne szmery na polu zbudziły ją po dalszych kilku godzinach, nie miała jednak czasu rozejrzeć się dookoła, bo gdy tylko otworzyła oczy, trafiła na niecierpliwe spojrzenie pochylonego nad nią Mulata.

– Nareszcie się budzisz, kobieto – powiedział, podając jej manierkę, żeby łyknęła z niej wódki z prochem i całkiem wróciła do siebie.

Chciała znać powód tak okropnego traktowania, więc Mulat wyjaśnił, że jej usługi potrzebne są pułkownikowi. Pozwolił jej tylko przemyć twarz wodą i natychmiast zabrał na sam koniec obozowiska, gdzie człowiek wzbudzający największą trwogę w kraju odpoczywał w hamaku zawieszonym między dwoma drzewami. Nie mogła dojrzeć jego twarzy, bo przesłaniał ją drgający cień listowia, cieniem kładły się na niej także lata bandyckiego żywota. Pomyślała jednak, że musi to być twarz gotowego na wszystko drania, skoro jego olbrzymi adiutant zachowuje się tak uniżenie. Zaskoczył ją głos pułkownika, miękki i modulowany jak u nauczyciela.

– To ty sprzedajesz słowa? – spytał.

– Do usług – bąknęła, wpatrując się w mrok, żeby zobaczyć mężczyznę.

Pułkownik wstał z hamaka, a światło trzymanej przez Mulata pochodni oświetliło mu twarz. Kobieta ujrzała ogorzałe policzki i dzikie oczy pумы i zrozumiała od razu, że stoi przed nią najbardziej samotny człowiek na świecie.

– Chcę być prezydentem – powiedział.

Dość już miał ciągłego przemierzania tej przeklętej ziemi wszerek i wzdłuż, dosyć bezsensownych wojen i porażek, których żaden fortel nie potrafił zmienić w zwycięstwa. Od wielu lat sypiał pod gołym niebem, gryziony przez robactwo, żywiąc się iguanami i zupą węzową. Drobne te niedogodności nie były jednak powodem, dla którego zapragnął odmienić swe życie. Naprawdę dokuczał mu strach, jaki wyzierał z ludzkich oczu. Marzył, by wkraczać do miasteczek pod triumfalnymi łukami, wśród kolorowych chorągiewek i kwiatów, chciał, żeby ludzie bili mu brawo i dawali w prezencie świeże jaja i świeżo upieczony chleb. Męczyła go świadomość, że mężczyźni przed nim uciekają, kobiety ronią z przerażenia, a dzieci dygocą ze strachu. Dlatego postanowił zostać prezydentem. Mulat radził, żeby ruszyli do stolicy, wpadli galopem do Pałacu i przejęli

rządy tak, jak wcześniej zdobywali inne rzeczy, nikogo nie prosząc o pozwolenie. Pułkownik nie chciał jednak stać się kolejnym tyranem, bo w historii tego kraju było ich wystarczająco wielu, a poza tym nie zaskarbiłby sobie w ten sposób miłości ludzi. Chciał, żeby wybrali go w powszechnym głosowaniu podczas grudniowych wyborów.

– Dlatego muszę przemawiać jak kandydat na prezydenta. Możesz mi sprzedać słowa przemówienia? – spytał pułkownik Belise Crepusculario.

Otrzymała w przeszłości wiele różnych zleceń, ale żadne nie było podobne do tego. Nie mogła jednak odmówić, obawiała się, że Mulat wpakuje jej kulę między oczy albo, co byłoby jeszcze gorsze, że pułkownik się rozplacze. Chciała mu pomóc także dlatego, że na jego widok poczuła gwałtowne uderzenie ciepła, zapagnęła z całych sił dotknąć tego mężczyzny, przesuwając dłońmi po jego ciele, utulić go w swych ramionach.

Całą noc i dużą część następnego dnia Belisa Crepusculario wyszukiwała w swym repertuarze słowa odpowiednie do prezydenckiego przemówienia. Pilnujący kobiety Mulat nie odrywał oczu od jej mocnych nóg i dziewiczych piersi. Belisa odrzuciła słowa szorstkie i oschłe, a także nazbyt kwieciste, wyblakłe od nadmiernego używania, nie chciała słów, które obiecują rzeczy niemożliwe, są pozbawione prawdy i niejasne. Wybrała tylko takie, które potrafią celnie trafić do umysłu mężczyzn i intuicji kobiet. Wykorzystując wiedzę nabytą od księdza za dwadzieścia pesos, napisała przemówienie na kartce papieru, a potem dała znak Mulatowi, żeby rozwiązał linę, którą przywiązali ją za kostki u nóg do drzewa. Zaprowadzono ją ponownie do pułkownika, a gdy go zobaczyła, znowu poczuła ten sam pulsujący niepokój, co przy pierwszym spotkaniu. Podała mu kartkę i zastygła w oczekiwaniu, podczas gdy on patrzył na litery, trzymając papier koniuszkami palców.

– Co tu jest, u licha, napisane? – spytał w końcu.

– Nie umiesz czytać?

– Umiem się bić – odparował.

Przeczytała przemówienie na głos. Przeczytała je jeszcze trzy razy, żeby jej klient mógł sobie wszystko utrwalić w pamięci. Kiedy skończyła, dostrzegła wzruszenie na twarzach mężczyzn z oddziału, którzy przyszli jej posłuchać. Zauważyła też, że żółte oczy pułkownika błyszczą entuzjazmem. Był przekonany, że dzięki słowom Belisy zdobędzie dla siebie fotel prezydenta.

– Jeśli po trzykrotnym wysłuchaniu przemówienia chłopaki dalej stoją z otwartymi gębami, znaczy, że się nadaje, pułkowniku – wyraził swą aprobatę Mulat.

– Ile sobie liczysz za tę pracę, kobieto? – zapytał szef.

– Jedno peso, pułkowniku.

– To niedrogo – powiedział, otwierając przytwierdzoną do paska torbę z resztkami ostatnich łupów.

– Masz jeszcze prawo do małej premii. Przysługują ci dwa słowa tajemne – powiedziała Belisa Crepusculario.

– Co to znaczy?

Zaczęła mu wyjaśniać, że za każde pięćdziesiąt zapłaconych centavów obdarowywała klienta jednym słowem na wyłączny użytek. Pułkownik wzruszył ramionami, ta oferta wcale go nie interesowała, ale nie chciał być nieuprzejmy wobec kogoś, kto tak mu się przysłużył. Ona podeszła niespiesznie do stołka, na którym siedział, i pochyliła się, żeby dać mu zapowiedziany prezent. Mężczyzna poczuł wówczas rozsiewany przez kobietę zapach wiejskiego zwierzęcia, ogniste ciepło buchające z jej bioder, groźne muśnięcie jej włosów, oddech pachnący miętą, gdy szeptała mu do ucha dwa tajemne słowa, do jakich miał prawo.

– Są twoje, pułkowniku – powiedziała, cofając się o krok. – Możesz ich używać, kiedy zechcesz.

Mulat odprowadził Belisę aż na skraj drogi, przyglądając się jej uporczywie błagalnym wzrokiem bezdomnego psa, ale gdy

wyciągnął rękę, żeby jej dotknąć, powstrzymała go potokiem wymyślonych naprędce słów. Słowa odegnały natychmiast jego pożądanie, bo pomyślał, że kobieta rzuca na niego jakąś nieodwołalną klątwę.

We wrześniu, październiku i listopadzie pułkownik wygłosił swoje przemówienie tyle razy, że gdyby nie składało się z lśniących i mocnych słów, zmieniłoby się w proch ze zużycia. Przemierzył cały kraj, przekonując wyborców, by na niego głosowali. Wjeżdżał do miast w triumfalnym nastroju, zatrzymywał się także w zapadłych wioskach, gdzie tylko śmieci świadczyły o obecności człowieka. Gdy on przemawiał na podium pośrodku placu, Mulat i jego ludzie rozdawali cukierki i malowali złotą farbą jego imię na murach, ale nikt nie zwracał uwagi na te sklepikarskie chwytły, bo wszyscy słuchali, olśnieni klarownością jego wyводу i poetycką jasnością argumentów, porwani jego chęcią naprawienia błędów popełnionych w przeszłości i po raz pierwszy w życiu weseli. Gdy kandydat kończył mówić, oddział oddawał salwę z pistoletów w powietrze i rzucał petardy. Gdy odjeżdżali, zostawiali po sobie smugę nadziei, która unosiła się w powietrzu przez wiele dni niczym wspaniałe wspomnienie po cudnej komedii. Pułkownik stał się szybko najpopularniejszym politykiem. Oto mężczyzna, którego ukształtowały lata wojny domowej, naznaczony bliznami, przemawia teraz jak profesor, a jego autorytet szerzy się w całym kraju, poruszając serce narodu. Nikt tu wcześniej nie widział niczego podobnego. Pułkownikiem zajęła się prasa. Dziennikarze przyjeżdżali z daleka, by zrobić z nim wywiad i rozgłosić jego poglądy. W ten oto sposób urosły zastępy jego zwolenników i wrogów.

– Dobrze nam idzie, pułkowniku – powiedział Mulat po dwunastu tygodniach sukcesów.

Ale kandydat go nie usłyszał. Powtarzał w myślach swoje dwa tajemne słowa. Robił to coraz częściej. Wypowiadał je, gdy dopadała go nostalgia, szeptał je przez sen, wiozł je ze sobą konno, myślał

o nich przed rozpoczęciem słynnego przemówienia i łapał się na tym, że rozkoszuje się nimi także w chwilach bez troski. Ilekroć te dwa słowa przychodziły mu do głowy, przywoływały na myśl Belisę Crepusculario, a wtedy burzyły się w nim zmysły na wspomnienie wiejskiego zapachu, ognistego żaru, niebezpiecznego muśnięcia kosmyka włosów i oddechu pachnącego miętą. Zaczął w końcu chodzić jak błędny i jego ludzie zrozumieli, że życie z niego ujdzie, nim zdobędzie fotel prezydencki.

– Co się z tobą dzieje, szefie? – wielokrotnie pytał Mulat, aż któregoś dnia pułkownik nie wytrzymał i wyznał, że winę za jego stan ducha ponoszą owe dwa słowa, które utkwiły mu w brzuchu.

– Wypowiedz je, może wtedy stracą swoją moc – prosił wierny adiutant.

– Nie powiem, są tylko moje – odparł pułkownik.

Nie mogąc patrzeć, jak stan jego szefa pogarsza się z dnia na dzień, niczym stan skazańca oczekującego na wykonanie wyroku śmierci, Mulat zarzucił karabin na ramię i ruszył na poszukiwanie Belisy Crepusculario. Tropił jej ślady wzdłuż i w szerz kraju, aż znalazł ją w końcu w miasteczku na południu, gdy siedziała pod płachtą swego wysłużonego namiotu i recytowała litanię wiadomości. Stanął przed nią w rozkroku, a w ręce trzymał broń.

– Jedziesz ze mną – rozkazał.

Czekała na niego. Schowała kałamarz, złożyła lnianą płachtę rozpiętą nad straganem, zarzuciła na ramiona szal i bez słowa wspięła się na grzbiet konia. Podczas całej drogi nawet nie spojrzeli na siebie, bo pożądanie Mulata zmieniło się we wściekłość i tylko strach, jaki czuł przed jej językiem, nie pozwalał mu pociąć jej biczem na kawałki. Nie chciał jej także mówić, że pułkownik chodzi jak ogłupiały i to, czego nie dokonały długie lata wojny, sprawiło jedno zaklęcie wyszeptane do ucha. Trzy dni później dojechali do obozowiska i w obecności całego oddziału Mulat natychmiast zaprowadził swą zdobycz do dowódcy.

– Przywiozłem ci tę czarownicę, pułkowniku. Oddaj jej te słowa, a ona niech zwróci ci męstwo – powiedział, wycelowując lufę karabinu w kark kobiety.

Pułkownik i Belisa Crepusculario popatrzyli na siebie dłuższą chwilę, mierząc się na odległość wzrokiem. Zgromadzeni ludzie zrozumieli wówczas, że ich szef nie może już uwolnić się od cza-ru tych dwóch diabelskich słów, bo zobaczyli, jak drapieżne pumie oczy stają się potulne, gdy ona podchodzi i chwyta go za rękę.